

Studenci kierunku Bezpieczeństwo Narodowe prowadzonego przez Katedrę Badań nad Konfliktami i Pokojem Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Szczecińskiego uczestniczą od 2009 roku w projekcie "W mundurze na Pomorzu Zachodnim i poza granicami kraju?". W jego ramach prowadzą wywiady i zbierają relacje, między innymi od uczestników misji pokojowych. W ramach współpracy Katedry z Kołem Nr 19 SKMP ONZ prezentujemy wyróżnione prace.

Grzegorz Ciechanowski

Moja przygoda w Kambodży.

Wywiad z Ryszardem Kalińskim, uczestnikiem misji UNTAC



Mnisi buddyjscy na tle kompleksu zabytków Angor.

Jak trafił Pan do wojska?

Urodziłem się w Gdyni, od dzieciństwa miałem kontakt z morzem. Mieszkałem tam kilka lat, po czym przeprowadziliśmy się do Wielkopolski, do wspaniałej wsi Suchorzew w ówczesnym województwie kaliskim. Po ukończeniu Liceum Ogólnokształcącego w Pleszewie w 1972 roku rozpocząłem studia w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu. Ciągnęło mnie do armii, w rodzinie byli wojskowi, a chłopakowi z małej wioski wojsko dawało możliwość bezpłatnego kształcenia się i "wyjścia na świat". Fascynowało mnie wtedy podnoszenie kondycji fizycznej, a w armii można było rozwijać się w tym kierunku. Obaj moi bracia też zostali żołnierzami, jeden z nich jest oficerem WP do dnia dzisiejszego.

Co sprawiło, że wybrał Pan szkołę we Wrocławiu? Równie blisko były szkoły w Poznaniu czy w Toruniu?

We Wrocławiu szkolono specjalistów do jednostek rozpoznawczych, a mnie to głównie pociągało. Wiedziałem, że tam będą skoki spadochronowe, intensywne szkolenie fizyczne i bojowe.

Gdzie wypadło Pana miejsce służby po zakończeniu szkoły?

W 1976 roku trafiłem do Szczecina, do kompanii rozpoznawczej 5. Kołobrzeskiego Pułku Zmechanizowanego. Zostałem dowódcą plutonu rozpoznawczego. Po około rok trwającej służbie objąłem stanowisko dowódcy kompanii rozpoznawczej w 41. Pułku Zmechanizowanym, w koszarach przy ul. Łukasińskiego, tam gdzie dziś mieści się siedziba korpusu NATO. Ale stanowisko to było dla mnie zbyt ?ciasne?.

Gdzie się mógł Pan zatem zawodowo najbardziej realizować?

Najbardziej pociągał mnie sport, a ściśle kierowanie wychowaniem fizycznym młodych ludzi, gdzie mógłbym wdrażać swoje własne pomysły i rozwiązania oraz bezpośrednio obserwować efekty tej pracy. Stąd złożyłem wniosek o przekwalifikowanie mnie na stanowisko instruktora wychowania fizycznego. Motywowało mnie to, że pracując w tej dziedzinie mógłbym wyżywać się zawodowo, szkoląc i trenując żołnierzy ? zawodników, przeżywać z nimi ich zmagania. Dobrze trafiłem, bo w 41. pz sport cieszył się wielkim uznaniem, zdobyto wiele medali podczas różnych imprez i zawodów.

Mój wniosek został przyjęty i zostałem wysłany na kurs przekwalifikowania do Centrum Doskonalenia Oficerów w Rembertowie. Po dziewięciu miesiącach wróciłem do pułku i rzuciłem się do pracy, z którą wiązałem tyle nadziei. Wspaniale wspominam ten okres. Mogłem zapewnić wielu młodym ludziom atrakcyjną formę spędzania czasu, a wówczas możliwości wyjścia na przepustki były ograniczone. Żołnierz zresztą, kiedy już znalazł się poza koszarami najczęściej szedł do knajpy, a do tego musiał uważać na patrole WSW [Wojskowa Służba Wewnętrzna, dziś te zadania wypełnia Żandarmeria Wojskowa ? przyp. red.]. Ja zaś byłem w stanie zapewnić im inną formę wyżycia się, bardzo mnie to motywowało do pracy. Mogłem robić rzeczy niemożliwe.

Proszę o jakiś przykład

Byliśmy pierwszą jednostką z basenem kąpielowym. Przekonałem do tego dowódcę, żeby ?przerobić? na ten cel basen przeciwpożarowy znajdujący się na terenie koszar, na którego dnie trzymano beczki z kiszonymi ogórkami! Udało się i po kilku latach wszystkie jednostki 12. DZ miały baseny kąpielowe.

A ja mogłem szkolić. Setki moich żołnierzy zdobyło karty pływackie zaliczając egzaminy właśnie w tym wspaniałym obiekcie. Część z nich brała udział w zawodach pływackich i zdobywała puchary.



*Po zakończeniu zawodów sportowych, w hali sportowej 33. Batalionu Łączności.
Fot. z archiwum R. Kalińskiego*

Praca oficera WF musiała być najbardziej aktywna w niedziele, kiedy większość żołnierzy zawodowych miała wolne. Czy to Panu nie przeszkadzało?

Nie odczuwałem tej niedogodności. To była moja praca. Mój syn Piotrek już jako niemowlak wychowywał się na materacu gimnastycznym w hali sportowej, żona w tym czasie miała dyżury w szpitalu.

A jak dalej układała się Pańska służba?

W 1986 roku objąłem stanowisko Szefa WF i Sportu w 12. Dywizji Zmechanizowanej. Tu jeszcze bardziej można było rozwinąć skrzydła, stymulować szkolenie i organizować przedsięwzięcia sportowe w kilkunastu jednostkach dywizji, współpracować z jednostkami garnizonu, jak również uczestniczyć we współzawodnictwie z wieloma klubami sportowymi w mieście. Kompletowaliśmy zespoły reprezentujące naszą dywizję, złożone z żołnierzy naszego związku taktycznego i startowaliśmy w wielu zawodach, w różnych dyscyplinach na terenie miasta, okręgu wojskowego i całego kraju.

Praca trwała na okrągło cały rok. Zimą organizowałem obozy kondycyjne dla kadry i żołnierzy jednostek rozpoznawczych w górach. Narty, marsze i co ważne, wiele z nich było prowadzonych wśród osób cywilnych, co niejako pozwalało

wojskowym wychodzić ze swojego zamkniętego otoczenia. Takie działania otworzyły mnie na takie zewnętrzne kontakty, nauczyłem się sprawnie organizować, współpracować i współdziałać z różnymi środowiskami. Podczas pracy w 12. DZ za zgodą przełożonych ukończyłem studia cywilne na Uniwersytecie Szczecińskim. na Wydziale Kultury Fizycznej. Pozwoliło mi to na zdobycie wielu nowych doświadczeń i kontaktów.

Co było dla Pana największą satysfakcją zawodową?

Do jednostek dywizji jednocześnie wcielanych było około 4,5 tysiąca poborowych. To byli młodzi ludzie, ale w ogromnej większości pokrzywieni, z zaniedbaną kondycją fizyczną, nie wierzący we własne w tym względzie możliwości. A ja wiedziałem, że w młodych ludziach tkwi wielki potencjał, trzeba tylko dać szansę im to wykorzystać.

Miałem świetnych szkoleniowców WF w jednostkach. Po trzech miesiącach szkolenia podstawowego mogłem obserwować efekty ich pracy. Osoby, które na początku nie były w stanie ani razu podciągnąć się na drążku, po trzymiesięcznym okresie szkolenia podstawowego już zupełnie inaczej poruszały się w hali sportowej, czy na torze przeszkód. A po dwóch latach służby wielu z nich to już byli sportowi specjaliści. Część z nich rozwijała karierę sportową w klubie POW ?Zawisza? Bydgoszcz, czy nawet w warszawskiej ?Legii?.

To stanowi moją największą satysfakcję: żołnierz, który często na początku służby po przebiegnięciu 300 metrów padał z wyczerpania, mógł przezwyciężyć własne słabości. Był w stanie pokonać 3 kilometry, 5 kilometrów, wspinać się na linie. To wszystko można było zobaczyć gołym okiem. Robiliśmy kawał dobrej roboty, która przynosiła świetne efekty.

Ta praca została przerwana wyjazdem na misję do Kambodży.

Misje ONZ z polskimi kontyngentami funkcjonowały od dawna, ale oficerowie kadrowi nie szukali kandydatów w naszych liniowych jednostkach. Pierwszą znaną mi taką ?otwartą? misją, na którą mogli zgłosić się wojskowi z całej Polski, była operacja UNTAG w Namibii, zresztą wielu z tych, którzy pojechali do Kambodży, było wcześniej w tamtej misji.

Misję UNTAC w Kambodży od razu przedstawiano jako ciężkie przedsięwzięcie i obawiano się, że nie będzie na nią zbyt wielu chętnych. Do jednostki przyszło pismo z informacją o zaciągu i w ten sposób dowiedziałem się o niej i zgłosiłem swój udział. Wiedzieliśmy, że trzeba będzie zmienić wszystko, od umundurowania, po wyżywienie. W podjęciu decyzji pomogło mi też to, że od kilku lat prywatnie uczyłem się języka angielskiego.

Jak wyglądał proces przygotowania do wyjazdu?

Do misji w Kambodży zgłosiło się wielu chętnych z różnych jednostek. Wstępna selekcja odbyła się, jeśli dobrze pamiętam, w lutym 1991 roku w Pomorskim Okręgu Wojskowym. Wróciliśmy do jednostek i na początku marca 1992 roku skierowano nas do Wojskowego Centrum Szkolenia dla potrzeb Sił Pokojowych Organizacji Narodów Zjednoczonych w Kielcach.

W etacie naszego kontyngentu nie znalazłem niestety stanowiska instruktora sportowego, było natomiast coś pokrewnego, tzw. Welfare Officer odpowiedzialny

za pracę kulturalno ? oświatową i krzewienie kultury fizycznej. Dla mnie to był ? strzał w dziesiątkę?, to było to, co chciałem robić.

Rozpoczął się program przygotowywania nas do misji: szczepienia, szkolenia i specjalistyczne kursy. Ci, którzy byli już w Kielcach, jeśli nie zrezygnowali, w zasadzie wyjechali do Kambodży.

W czasie szkolenia w Kielcach zostałem przydzielony do grupy prowadzącej zajęcia z wychowania fizycznego, później prowadziłem też w naszej kambodżańskiej grupie egzaminy z WF.



Nieśmiertelna wojskowa konkurencja ? przeciąganie liny, Wojskowe Centrum Szkolenia dla Potrzeb Sił Pokojowych ONZ, Kielce 1992 r. Fot. R. Kaliński

Oczywiście w tym czasie uczestniczyłem w wykładach na temat historii, kultury tego kraju, z języka angielskiego, w szkoleniu saperskim, strzeleckim, Znalazłem jeszcze czas na przygotowanie sobie przyszłego zaplecza pracy: ścigałem sprzęt kulturalno ? oświatowy na przykład telewizory, magnetowidy, książki, sprzęt sportowy, koszulki, czapeczki, proporczyki, dyplomy itp. Załatwiałem to wszystko skąd tylko się dało, nie było na to za wiele pieniędzy. Tu pomogły mi doświadczenia kilkunastu lat pracy jako organizatora sportu w wojsku.

W Kielcach mieliśmy do dyspozycji pomieszczenia, gdzie szefowie poszczególnych służb gromadzili sprzęt, który miał być wykorzystany w przyszłej misji.

Mój ojciec był marynarzem, odwiedził wiele egzotycznych miejsc i zawsze powtarzał: licz zawsze na siebie. Idąc za tą radą analizowałem, co się może wydarzyć. Zabrałem flagę, plecakowy zestaw na wodę, drut, gwoździe, młotek, farbę olejną białą i czerwoną. Wybiegając naprzód powiem, że te rzeczy stały się w pierwszych dniach pobytu w obozie Siem Reap bezcenne, kiedy na przykład

trzeba było wciągnąć flagę na maszt, a ten byliśmy w stanie pomalować w narodowe barwy, podobnie jak szlaban.

Kiedy nastąpił wyjazd?

W maju 1992 roku z Okęcia samolotem transportowym wyleciała grupa przygotowawcza. Pamiętam ten ogromny samolot, ładowaliśmy na niego część sprzętu.

W międzyczasie w koszarach 7. Brygady Obrony Wybrzeża w Gdańsku przygotowywano ciężki sprzęt ściągany z jednostek w kraju. Prowadzono tam przeglądy techniczne, malowano na biało, a później załadowano na statek, który wyruszył do Kambodży.

W lipcu 1992 roku wyleciałem do Phnom Penh. Mieliśmy międzylądowanie w Dubaju. W Kambodży był akurat początek pory deszczowej. Pierwsze wrażenie, już tam na miejscu, to potężny deszcz i wilgoć. Na lotnisku po wylądowaniu zostawiono nas samych. Sztab kontyngentu szybko uwinął się i opuścił to miejsce. Piloci naszego samolotu nawet nie wyłączyli silników, odlecieli zaraz po wylądowaniu sprzętu. A my dwie godziny w kompletnie przemoczonych mundurach, czekaliśmy na dalszy rozwój sytuacji. To wspomnienie silnie zapadło mi w pamięci. A to wrażenie wilgotności zachowałem przez całą misję.

Co do naszego wyposażenia, jak wspominałem, mundury nie nadawały się do użytku. Egzamin zdały jedynie zamszowe buty, ale akurat te kupiliśmy sobie za własne pieniądze w Kielcach od prywatnego przedsiębiorcy, który pewnego dnia podjechał pod ośrodek i sprzedawał je prosto z samochodu.

Trafiliśmy do tzw. Transit Campu, położonego na przedmieściach Phnom Penh. Mieszkaliśmy w prymitywnych barakach dawnych koszar armii khmerskiej. W środku były prycze, mieliśmy nasze wojskowe podgumowane materace, ale nie pomyślano o zaopatrzeniu nas choćby w moskitiery, a owadów było niebywałe zatrzęsienie.



Stółówka w Transit Camp, Phnom Penh. Fot. R. Kaliński

To był obóz przejściowy?

Tak, po kilku dniach bytowania w Transit Camp, bo tak ten okres chyba należy nazwać, wraz z 4. kompanią wsparcia logistycznego mjr. Andrzeja Flisiuka, do której zostałem przydzielony, przerzucono nas do bazy w Siem Reap. Sama translokacja była problemem. Drogi w Kambodży były zupełnie zniszczone, zatem większość samochodów załadowano na promy, tratwy i inne środki pływające i przetransportowano je Mekongiem, główną rzeką Indochin. Część samochodów wyładowanych materiałem ruszyła na kołach do Siem Reap. Część wojska przetransportowali śmigłowce.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, a ciągle lało, bo to był środek pory deszczowej, zastaliśmy kilka drewnianych baraków i wiatę. Trzeba było wszystko zorganizować od podstaw. Mieliśmy swoje namioty typu NS, metalowe łóżka polowe i materace. Pod wiatą zorganizowaliśmy kuchnię. Przywiozłem ze sobą spadochron desantowy, który posłużył mi jako zadaszenie klubu.

Szybko okazało się, że ciągle wilgotne mundury ?moro? nie dają się nosić, ocierają ciało do krwi. Znów za własne pieniądze na pobliskim bazarze kupowaliśmy lekkie ubrania, spodenki koszulki. Z zasobów ONZ, w niewielkich ilościach, dostaliśmy mundury z ONZ tzw. Indiana Bush, które nie były idealne, ale znacznie lepiej sprawdzały od tamtejszych warunkach.

Już w pierwszych dniach praktycznie wszyscy zachorowali na zapalenie spojówek. Raziło światło, oczy były zapuchnięte, nic nie było widać. Okazało się, że ani nasi

lekarze, ani ich koledzy z innych kontyngentów nie mają na to żadnych skutecznych lekarstw.



Taplając się w błocie próbujemy osuszyć placyk przed namiotem oficera dyżurnego 4. kompanii w Siem Reap. Fot. R. Kaliński

W Siem Reap byliśmy zdani tylko na siebie. W tej sytuacji pomogła nasza desperacja. Znaleźliśmy świątynię, w której byli mnisi mówiący trochę po francusku, trochę po angielsku. Przygotowali nam środek na te zapuchnięte oczy, to był chleb zmieszany z pajęczyną.

To jak kuracja Kmicica w ?Potopie? Sienkiewicza !?

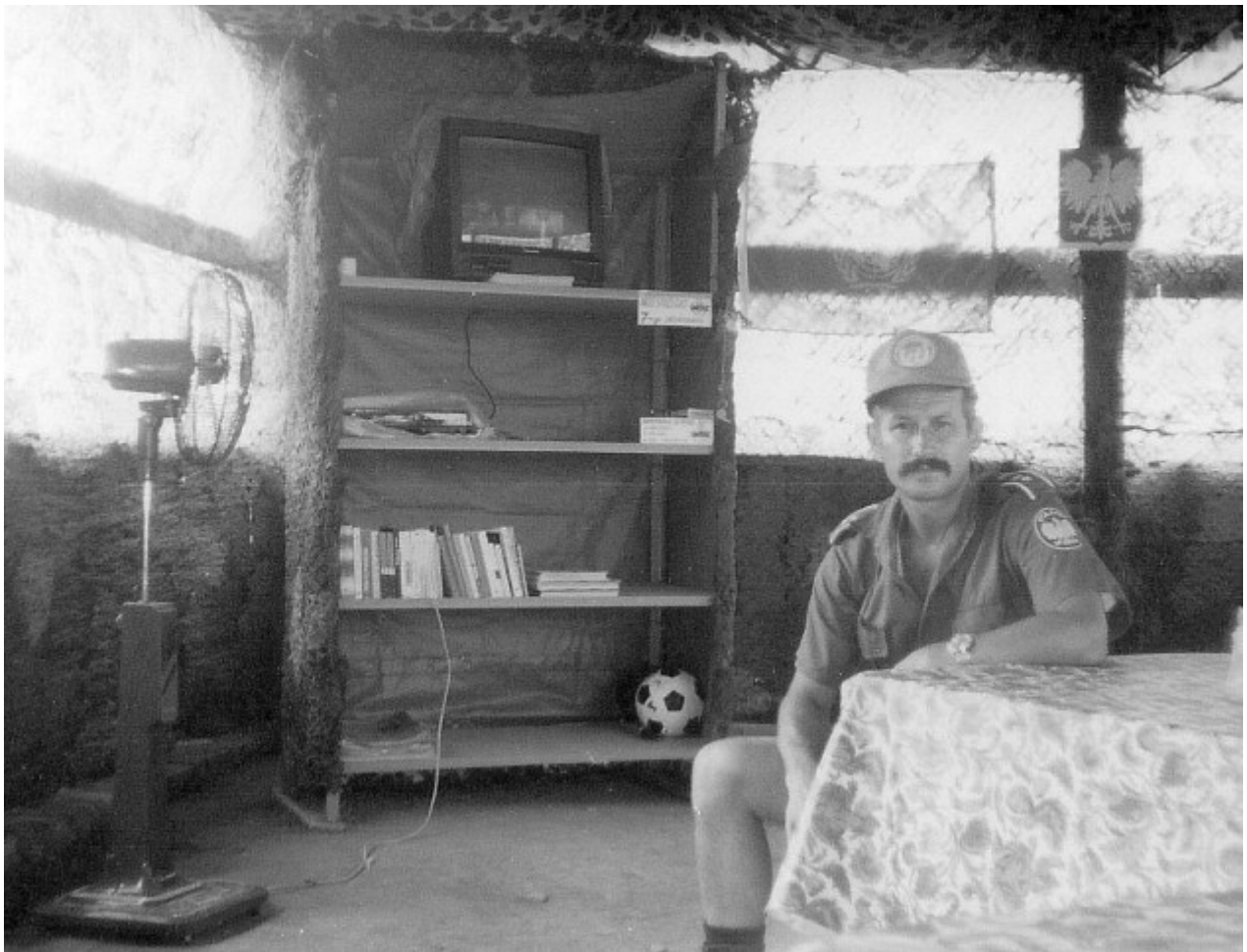
Tak. Pomogło wszystkim. Wierzę, że właśnie dzięki temu do dziś nie używam okularów.

Jakie były Pańskie obowiązki w 4. kompanii?

Byłem odpowiedzialny za prowadzenie klubu żołnierskiego, organizowanie imprez kulturalno ? oświatowych, w tym wycieczek do kompleksu świątynnego Angor i innych ciekawych miejsc w tym rejonie.



Wycieczka kadry 4. kompanii wsparcia logistycznego do kompleksu świątynnego Angor. Fot. R. Kaliński



Nasz mini klub w stołówce 4. kompanii. Fot. z archiwum R. Kalińskiego



Nasz miniklub odwiedzali nie tylko żołnierze. Na zdjęciu najmłodszy mieszkańcy wioski położonej w pobliżu naszego obozu w Siem Reap. Fot. z archiwum R. Kalińskiego

Organizowałem zawody sportowe z żołnierzami zgrupowania, wysyłałem reprezentacje na różne zawody organizowane przez UNTAC, do udziału w zawodach zapraszałem też miejscowych mieszkańców (między innymi rozgrywki w siatkówkę i piłkę nożną). Nasza drużyna występowała w jednolitych strojach, które jako doświadczony wuefmen zabrałem ze Szczecina. Poza tym było sporo pracy w samej kompanii, pomagałem w urządzaniu obozu, czy w pracach logistycznych.

Organizowałem też ceremonie urodzin kolegów, wpadłem na pomysł, aby każdemu świętującemu wręczać na pamiątkę wietnamski kapelusz z odpowiednimi napisami: nazwą misji, z życzeniami oraz oryginalną tabliczkę ? Danger Mines? z życzeniami i podpisami kolegów. Sam taką dostałem i do dziś przechowuję te dwie rzeczy w moim biurze. Wieczorem po pracy w naszym mini klubie urządzonym na stołówce, wyświetlałem filmy zabrane z Polski.

W naszej kompanii, podobnie jak w innych, byli młodzi chłopcy, żołnierze służby zasadniczej, kilku miałem później pod swoją komendą. To byli jeszcze nie w pełni doświadczeni życiowo ludzie i z nimi było najwięcej kłopotów. Okres wstępnego szkolenia w Kielcach był dla nich za krótki. W trakcie misji jako pierwsi ?

wysiadali? psychicznie, ale nie w tym sensie, że się załamywali, ale że nie umieli dostosować się do sytuacji. Zabrakło im samodyscypliny. Na miejscu część z nich poczuła się jak królowie życia, mieli pieniądze, było ich dość na alkohol, można było imponować miejscowym kobietom. Z takimi mieliśmy kłopot, a wojsko opiera się na dyscyplinie.



Star-266 w błocie. Obóz Siem Reap, pora deszczowa. Fot. z archiwum R. Kalińskiego

Co okazało się największym wyzwaniem?

Pierwsze padły sprawy zdrowotne i logistyka. Nasze mundury okazały się nieprzydatne. Nasze racje żywnościowe, zabrane z kraju na pierwsze trzy miesiące, już po kilku dniach w tym upale i wilgoci zaczęły się psuć. Puchły puszki z zestawami obiadowymi. Zostały tylko konserwy z chlebem, fasolką i kaszanką. Powiem tak, kiedy zaczynałem misję, ważyłem 78 kilogramów, po trzech miesiącach ?zjechałem? do 68. Ratowaliśmy się kupując za własne pieniądze żywność, głównie warzywa i owoce na miejscowym rynku.

Dopiero po trzech miesiącach przeszliśmy na zaopatrzenie ONZ. Mogliśmy zjeść wtedy pierwszego kurczaka. Jego smaku po tej głodówce nigdy nie zapomnę!

Sprzęt zabraliśmy ze sobą z kraju. Był przygotowany do pracy w naszych warunkach klimatycznych i tu nie zdawał egzaminu. Do tego był przestarzały. Począwszy od łączności, w innych kontyngentach mieli już telefony komórkowe. Nasze chłodnie popsuły się po kilkunastu dniach. Nasze stacje uzdatniania wody mieściły się na trzech samochodach, podczas kiedy inni mieli tego samego rodzaju aparaty zajmujące kilka metrów kwadratowych. Śmiali się z tego naszego wyposażenia.

Trzeba pamiętać, że przygotowując wyposażenie kontyngentu w kraju, sprzęt ściągano z różnych jednostek, więc rozkaz wykonywano, ale zazwyczaj przy okazji pozbywano się ze stanu najgorszego złomu. Który zresztą dowódca pozbędzie się najlepszego wyposażenia?



Jeden z wielu Starów-266 utopionych w błocie, 4. kompania Siem Reap. Fot. R. Kaliński

Przez pierwsze pół roku warunki mieszkalne były tragiczne. Nasze obozowisko usytuowane zostało na łące, która pod wpływem opadów zamieniła się w grzęzawisko. Wszystko, co jeździło, zapadało się. Terenu nijak nie można było utwardzić. Cały ten obszar od stuleci był irygowany i ten delikatny system działał. My budowaliśmy drogi i mosty, bo było zadanie, aby na okres wyborów całe terytorium kraju było przejezdne. O tych pobudowanych mostach, drogach szeroko pisała prasa krajowa i wojskowa. Tyle, że każdy taki projekt prowadzony był według naszych europejskich doświadczeń. Budując, niszczone i zatykano ten wydawać się mogło prymitywny, ale skutecznie działający irygacyjny system naczyń połączonych.

Pamiętam, jak przybiegli mieszkańcy jednej z wiosek. Nasi zbudowali mostek, położyli go na wzniesionych groblach, a następnego dnia wody dookoła było po kolana. W rezultacie po takiej ?skończonej? budowie trzeba było wszystko dookoła udrażniać, odkopywać i uczyć się szacunku do miejscowych rozwiązań.



Stary-266 zdawały egzamin w Kambodży, mimo ekstremalnie trudnych warunków. Fot. R. Kaliński



A warunki były rzeczywiście ciężkie. Ci panowie nie próbują wydobyć samochodu z błota. Rozwijają linkę wyciągarki, która zrobi to za nich. Fot. R. Kaliński

Warto zwrócić uwagę, że na filmach widzimy, jak ludzie w Indochinach poruszają się rowerami, motorkami, lekkimi wozami zaprzęgniętymi w bawoły. W czasie pory deszczowej nasze samochody zapadały się w błocie. Jedyny skuteczny środek transportu to śmigłowce, rosyjskie Mi-26. Jedynie polskie Stary-266 zdawały egzamin ?na pięć?, jeśli tylko ruszyły w trasę.

Czy w końcu nastąpiła jakaś poprawa?

Na początku stycznia 1993 roku przeprowadziliśmy się do nowego obozu, gdzie mieszkaliśmy w plastikowych namiotach. Było w nich bardzo gorąco, ale na lepsze zmieniło się całe zaplecze, między innymi kuchnia, toalety, prysznice, itp. Te namioty nie dawały żadnej osłony przed pociskami i odłamkami, co prawda jeszcze takich zagrożeń nie brano pod uwagę, ataki partyzantów miały nastąpić później.

W tym czasie zmieniłem jednak miejsce służby, przenieśliem się do Phnom Penh, gdzie byłem do końca misji.



Sędziuję jeden z meczów siatkówki. Siem Reap 1992 rok. Fot. z archiwum R. Kalińskiego

Czym się Pan tam zajmował?

W stolicy był sztab kontyngentu. Prowadziłem razem z chor. Krzysztofem Kazimierzakiem klub żołnierski ?Kambodżana?. Organizowaliśmy czas wolny dla naszych żołnierzy, współpracowaliśmy z kapelanem, po sąsiedzku z kontyngentem francuskim. Nagrywaliśmy i wyświetlaliśmy filmy, organizowałem wycieczki wokół Phnom Penh, między innymi na straszne pola śmierci, gdzie masowo byli mordowani ludzie przez oprawców Pol Pota.

Czy coś szczególnie zaskoczyło Pana podczas tej misji?

W Siem Reap spotykałem się z kilku oficerami dowodzącymi oddziałem Czerwonych Khmerów. To byli świetnie wykształceni ludzie, często po uczelniach we Francji, USA czy ZSRR, znali języki. To doświadczenie było odmienne od obrazu, który miałem wcześniej ukształtowany.



W jednym z miejsc ludobójstwa prowadzonego przez katów Pol Pota. Fot. z archiwum R. Kalińskiego

Najbardziej niebezpieczny moment?

Według mojej opinii, najgorsze są zawsze nieprzewidywalne sytuacje. Dla mnie najbardziej nieprzyjemny moment to taki właśnie epizod. Wracaliśmy wtedy do Phnom Penh naszym Starem-266, korzystając też z promów po Mekongu, w konwoju po dostarczeniu sprzętu do jednostki w Strung Treng i Siem Reap.

Samochody eskorty pojechały przodem, my zostaliśmy nieco z tyłu. W pewnej chwili zauważyłem partyzanta dającego znaki abyśmy stanęli. To był dowódca oddziału Czerwonych Khmerów. Dał nam do zrozumienia, żeby zabrać ich i przewieźć jego pododdział. Byli dobrze uzbrojeni w broń maszynową i granatniki. Wsiadł do kabiny kierowcy, a żołnierze oddziału na skrzynię ładunkową. Rozmawiałem z nim starając się zagadywać, a to o żonę, a to o rodzeństwo. Nie wiedziałem, co może nastąpić, a znaleźliśmy nieobliczalność partyzantów. Poprosił o zegarek, który miałem na ręku, więc mu go dałem. I tak przejechaliliśmy kilkanaście kilometrów.



Samochody UNTAC, część z nich przemieszczała się promami po Mekongu. Fot. z archiwum R. Kalińskiego

Niby wszystko było w porządku, ale na nic nie miałem wpływu i byliśmy zdani na decyzje tego człowieka. Poczułem jak po plecach aż do pośladków leje się po mnie pot. Oni jednak po dojechaniu do określonego punktu opuścili pojazd i poszli swoją drogą. Ale tego wydarzenia nie zapomnę.

A był taki moment, który szczególnie utkwił Panu w pamięci?

Tak, było takie wydarzenie, w czasie kiedy pełniłem obowiązki kierownika klubu żołnierskiego. Mieliśmy wieczór polskich filmów puszcanych z magnetowidu. Wtedy przyszli do nas żołnierze Legii Cudzoziemskiej z sąsiadującego z nami kontyngentu francuskiego. Pamiętam, że wypili kawę, oglądali telewizję.

Nagle jeden z nich podszedł do mnie i płynnie po polsku powiedział, że skądś mnie zna. Okazało się, że pamięta mnie jako szefa sportu z czasów jego służby w Szczecinie, w 41. Pułku Zmechanizowanym. Startował nawet jako reprezentant jednostki w wieloboju. Ja go niestety nie kojarzyłem, bo szkoliłem wielu żołnierzy, ale on to pamiętał. Po zakończeniu służby zaciągnął się do Legii i służył już wtedy 5 lat. W tym czasie został skierowany do Phnom Penh.



Klub żołnierski ?Kambodżana?, Phnom Penh. Fot. z archiwum R. Kalińskiego

Wzruszyła mnie ta opowieść i samo spotkanie. Wręczyłem mu polskie pamiątki, od serca, to co miałem pod ręką. Powiedział, że nic dla mnie nie ma w zamian, ale da mi coś szczególnego, dzięki czemu będę go pamiętał, choć pewnie już nigdy się nie spotkamy. Wręczył mi beret legionisty i swoją koszulkę z napisem ? 2e RÉGIMENT ÉTRANGER D'INFANTERIE?. Mam te rzeczy w domu do dziś i to są specjalne pamiątki.

Jak wyglądał koniec Pana misji?

Nasze bazy przejęło wojsko, a nas 4 listopada 1993 roku przerzucono do bazy Utapao w Tajlandii, gdzie poddani zostaliśmy dokładnej kontroli wyposażenia wywożonego do Polski. ONZ-towska żandarmeria (Military Police) sprawdziła każdego, czy nie przemyca czegoś niedozwolonego, głównie chodziło o narkotyki i broń.

Stamtąd przylecieliśmy do Warszawy, a ze stolicy autokarami do Kielc, gdzie powitano nas jak zadżumionych. Personel kontaktując się z nami, używał gumowych rękawiczek, część stołówek przeznaczonych dla nas oddzielono od reszty białymi prześcieradłami. Ci, którzy wtedy czekali w Kielcach na wyjazd na inne misje i skontaktowali się z nami, przyglądali nam się podejrzliwie, z niepewnymi minami. W każdym razie mogliśmy się poczuć dziwnie. Dopiero po kilku dniach badań lekarskich, zdawania sprzętu, z którym wróciliśmy, mogliśmy w końcu pojechać do domu.



Opuszczamy naszą bazę w Phnom Penh. Po lewej żołnierze armii kambodżańskiej, którzy zajmą nasze miejsce. Wielu z nich jeszcze kilka tygodni wcześniej służyło w oddziałach Czerwonych Khmerów. Fot. R. Kaliński

Długo nie było Pana w swojej jednostce?

Razem z przygotowaniem, byłem poza dywizją ponad dwa lata. Po powrocie chciałem przedstawić swoje doświadczenia z tej misji, ale przełożeni nie są tym zupełnie zainteresowani. W mojej opinii, w wojsku temat wyjazdów na misje był ciągle traktowany jako indywidualna sprawa tych, co to woleli wyjeżdżać, niż służyć na miejscu w jednostce. Jednym słowem, dowództwo tematem nie było zainteresowane, a koledzy owszem, ale tylko w dwóch aspektach, pytali o dziewczyny i dolary.

Mnie ten temat jednak bardzo zainteresował i zacząłem czynić starania, aby wyjechać na kolejną misję. Udało mi się dostać przydział na to samo stanowisko, co w Kambodży i w kwietniu 1996 wyleciałem wraz z całą zmianą na misję UNIFIL do Libanu Południowego.

Akurat Izrael rozpoczął operację „Grona Gniewu”, 14 kwietnia lądowaliśmy na lotnisku w Bejrucie, a 400 metrów od nas wybuchały pociski. Tak zaczynałem następną misję jako kierownik klubu żołnierskiego w centrum misji, w Naqoura. Ponownie wyjechałem do UNIFIL-u i służyłem na przełomie 1999/2000 roku jako Komendant Obozu Camp Skorpion polskiej w kompanii remontowej w miejscowości Tybnin w Południowym Libanie.

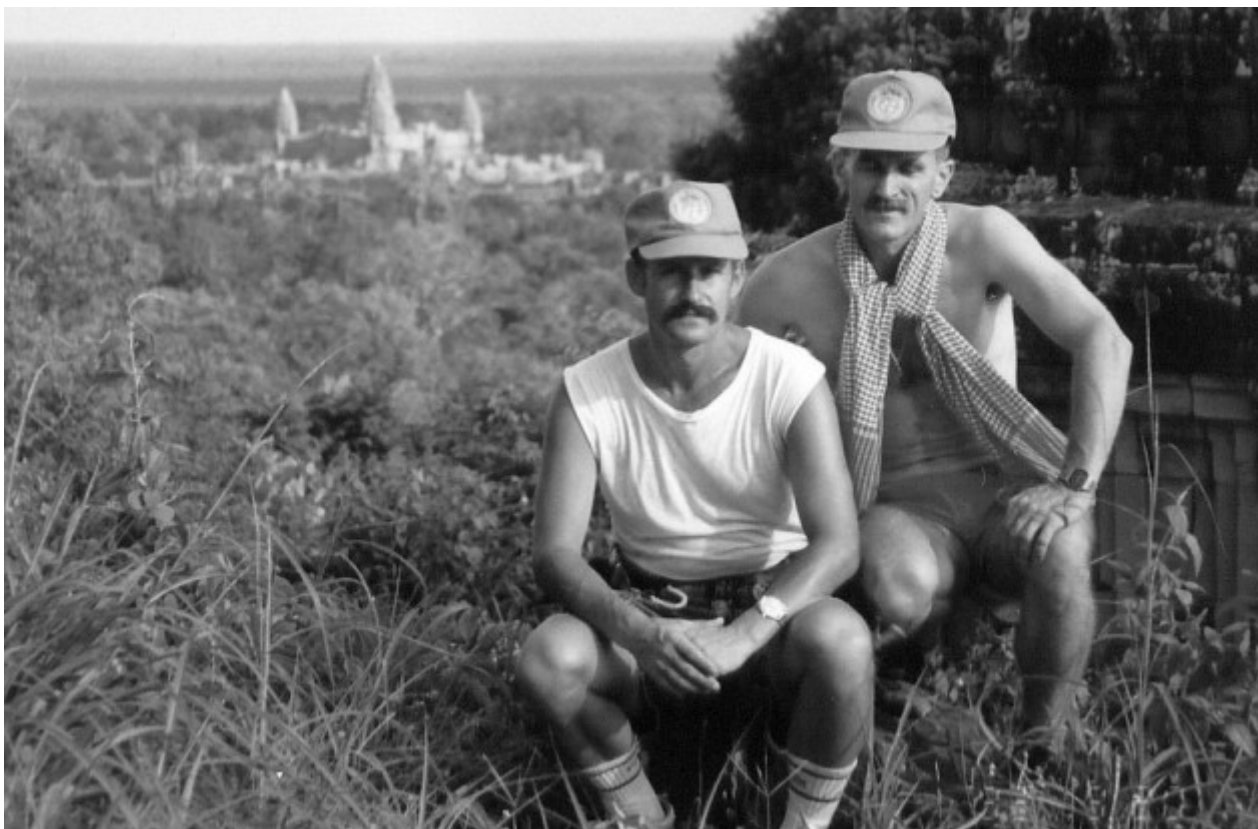
Po tej misji, kiedy 12. DZ przygotowywała się do wyjazdu na I Zmianę operacji stabilizacyjnej do Iraku zameldowałem się u dowódcy dywizji, z propozycją, że przed tak wielką operacją mogę służyć swoim doświadczeniem zdobytym podczas służby na Bliskim Wschodzie. W odpowiedzi usłyszałem od pana generała grzecznie, ale stanowczo: „My sobie damy radę, niech pan major zajmie się swoimi sprawami?”.

Później wojsko wydawało pieniądze na wykłady konsultantów, gdy tymczasem zapomniano o wielu wojskowych lub byłych wojskowych z ogromnym bagażem doświadczeń i wiadomości na temat tego regionu.

Czy te doświadczenia wyniesione z misji przydały się później?

Służba w charakterze organizatora sportu i później w misjach nauczyła mnie przede wszystkim tego, że choć mogą zdarzać się chwilowe niepowodzenia, zawsze trzeba iść do celu, nie załamywać się. To chyba najważniejsze doświadczenie. Być odpornym na przeciwności, znaleźć rozwiązanie i dalej robić swoje. W 2001 roku odszedłem do rezerwy, od 12 lat prowadzę biuro podróży. Objechałem świat od Morza Karaibskiego, przez Bliski Wschód po krańce Azji. Wyprawiłem na różne wycieczki i wyjazdy kilkadziesiąt tysięcy osób. To nie jest łatwa praca, ale otwarcie na świat zawdzięczam między innymi temu, co zdobyłem podczas służby na misjach poza granicami kraju.

Dzięki pracy w biurze podróży miałem już kilka razy możliwość odwiedzenia miejsc, gdzie służyłem w misjach pokojowych. Dzisiaj wyglądają już nieco inaczej, ale zawsze gdy tam jestem, przypominają mi się lata niebezpiecznej i ciężkiej, ale wspaniałej służby poza granicami Polski.



*Z polskim oficerem łącznikowym UNTAC na tle kompleksu świątynnego Angor.
Fot. z archiwum R. Kalińskiego*